

W krainie Czyngis-chana

8
dni

Tekst i zdjęcia Jakub Rybicki

Będzie to opowieść o samotnej podróży rowerowej po Buriacji i Mongolii. Wycieczka ani specjalnie długa – raptem niecałe 800 kilometrów, ani obfitująca w niesamowite przygody, ale z racji egzotyki tamtych stron, przyprawiająca o szybsze bicie serca. Rower kupiłem w Irkucku, a sprzedałem w Ulan Bator, podróż na nim opisuję więc ze wszystkimi bolesnymi szczegółami.

W Irkucku spędziłem całe pół roku, studiując na miejscowej uczelni. Największą atrakcją miasta, poza kilkoma pomnikami Lenina, jest fakt, że leży niedaleko perły Syberii – Bajkału. Starałem się więc nie tracić czasu i sukcesywnie zwiedzałem jezioro i okoliczne góry, a kiedy już zakończyłem zajęcia na uniwersytecie, a i pomysły na okoliczne wycieczki też się skończyły, postanowiłem udać się do Mongolii. Żeby było ciekawiej – rowerem. Niestety, nikt z znajomych nie zdecydował się towarzyszyć mi w tej ambitnej eskapadzie, więc musiałem zorganizować wszystko sam. ▶

AAAAAAAAAAAA
AAAAAAAAAAAA
AAAAAAAAAAAA
AAAAAA

MASSIVE PHOTOGRAPHY.COM



Jak kupić rower w Azji?

Myslałem, że kupno roweru nie będzie dużym wyzwaniem. Irkuck to przecież 600-tysięczne miasto z kilkoma spornymi sklepami rowerowymi. Sęk w tym, że wyznaczenia jest zasada „jakość ponad wszystko”. Pewnie dlatego nie można znaleźć jednośladow rosyjskiej produkcji. Z koleje w Irkucku nie ma hipermarketów, gdzie za 200 złotych można kupić cacko z Chin, które przetrwa jeden sezon – czyli dokładnie tyle, ile mi potrzeba. Tak więc, z moim skromnym studenckim budżetem, zostałem skazany na kupno używanego dwukółki. Po kilkutygodniowych poszukiwaniach znalazłem wreszcie pojazd, który odpowiadał moim cenowym wymaganiom. Lexus Voyager, bo taka dumą niosł nazwę, nie wyglądał może najlepiej, ale uznałem, że po niewielkim remoncie będzie w stanie bezawaryjnie dojechać do stolicy Mongolii. Jego właściciel też chyba był zadowolony z transakcji, mimo, że cena z 300 dolarów obniżył do 100.

Szybko ruszyłem w objazdy po sklepach, sklepikach, stragani-

kach i warsztatach z częściami rowerowymi, chcąc uczynić z mego rumaka prawdziwego króla szos. Pomijam komentarze różnych mechaników, którzy na widok mojego dwukółkiowca pukali się w czoło, mówiąc: – Panie, na Lexusie to na daleko możesz pan pojechać, ale dalej to on się rozspieje... No, proszę, a myślałem, że to taka dobra marka.

Salony rowerowe urządzone luksusowo, w kwestii części i ekwi-punku rowerzysty, zaskoczyły mnie. Owszem, są rowery, ale z czołowej niewiele więcej. Wreszcie, po zwiędzeniu absolutnie wszystkich tego typu obiektów, z trudem udało mi się skompletować cały niezbędny sprzęt, z wyjątkiem sakw. Tu dziwnie, bo widziałem na Syberii sporo osób pedałujących z sakwami, ale w sklepach w Irkucku nie było ich absolutnie nigdzie! Cóż, dla chcącego nie trudnego. Mój 75-litrowy plecak, stabilnie oparty na kijach trekkingowych (które były jednocześnie „steżkami” namiotu), a stal się górna sakwa, a namiot i śpiwór przypinałem po bokach dla równowagi. Całość

zaś trzymała się jako tako dzięki niezawodnym linkom elastycznym. Zainstalowanie całego majdanu każdorazowo wymagało około 15 minut, ale poza tym konstrukcja zdawała egzamin. Dodam jeszcze, że moja ulubiona skórzana torba hydrauliczna, odizolowana po termicie, świetnie sprawdzała się jako przednia sakwa, w której trzymałem aparat fotograficzny.

Kolej przyjaciele rowerzysty

Tak przygotowany mogłem ruszyć w drogę, a raczej na dworzec. Pierwotnie miałem zamiar przejechać całą trasę Irkuck – Ulan Bator na rowerze, ale nie zdążyłbym na największe święto narodowe Mongolii – Naadam (linaczej zwane Trzema Grami Męzczyzny, rozgrywane w całości przyjeżdżając do stolicy). Tak naprawdę to kilkudniowy festiwal, odbywający się w lipcu, podczas którego mężczyźni próbują swoich sił w zapasach, lucznicwie i wyścigach konnych. Dwie pierwsze dyscypliny rozgrywane są na stadionie Naadam, trzecia poza granicami

miasta. Bardzo chciałem zobaczyć to święto, zwłaszcza po lekturze książki żek podróżnika Bolesława Uryna, który jest znawcą Mongolii i wielkim fanem Naadam. Po dłuższym wahaaniu zdecydowałem się więc skrócić trasę, czego dziś, z perspektywy, żałuję. Była to moja pierwsza, duża, samotna wyprawa rowerowa po dalekiej Azji i przynam się – targaliśmy obawy, co do powodzenia całego przedsięwzięcia.

Wiedziałem więc do pocju. Okazało się przy okazji, że nie ma większego problemu z przewożeniem roweru koleją transsyberyjską. Ludzie w kolejce ja w Rosji przecież po wszystko są kolejkę! zycielwie zainteresowali się moim krążownikiem szos, a zwłaszcza velokomputerem, czyli licznikiem. Przez 20 minut czekania tak się zaprzyjaźniłiśmy, że stojące obok mnie osoby wytargowały nawet dla mnie niższą cenę biletu: – Dziewuska, smotritie, biednyj, inostrannyj student – orzeżono zgodnie przed panią w okienku. Podziało.

Rower umieściliśmy zaś pod sufitem przedziału, pomiędzy jedną a drugą półką na bagaż. Stabilność i spokójny sen moich współpasażerów zapewniły, jak zwykle, niezastąpione linki elastyczne. Wysiadłem po osmiu godzinach w Ulan Ude, dużym mieście po drugiej stronie Bajkału.

Początek przygody

Tu zaczyna się właściwa opowieść, gdyż na przydworcowej stacji benzynowej doprowadziłem mój majdan do porządku i ruszyłem w nieznaną. Podarył i poplamiony pamiętniczek, w którym obok adresów pozonanych po drodze ludzi i przydatnych zwrotów mongolskich tytu: – Dzień dobry, ja Polak, chciał jeść, dziękuję – i kupowałem piwo, ale z lodówką – jest też kilka dat. To one przypominają mi dziś, że cała przygoda zaczęła się 2 lipca. Wyjeżdżając za miasto i zaczyna się mój ukochany bezkes, co jakiś czas zakłócał tylko jakimś kolchozem imienia Lenina, ewentualnie kombinatem węglowym (bardz jakimikolwiek innym). W zaskakująco logicznych, jak na tę część świata,

AAAAAAAAAAAA
AAAAAAAAAAAA
AAAAAAAAAAAA
AAAAAA



O UCZESTNIKU WYPRAWY

Jakub Rybicki – absolwent socjologii, student wschodzniewstwa na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Miłośnik krajów byłego ZSRR, fotografii i... dziwnych czapek. Kiedyś uczył się języka estońskiego, więc pojechał na rowerze do Estonii. Dalej poszło już z górki (i pod górki). Na swoim starym góralu przejechał już kawał Europy, ze szczególnym upodobaniem do krajów postkomunistycznych.

ta, odległościach rozmieszczone są stajanki, czyli punkty sanitarno-gastronomiczne, w których za każdym razem bezskutecznie próbuję wyjaśnić doekielwym Rosjanom cel wyprawy. – Przecież można pojechać albo chociaż autobusem – mówią z niedowierzaniem.

Trzeci dzień spałoko mnie jednak mile zaskoczenie, a mianowicie trafitem na Jurę z Nowosielengiska. Był wycieczek, przejechałem już przepisowo 100 kilometrów na nocleg – przyjemne miejsce na zanieść. Z tyłu góra, z przodu rzeka, a po bokach stop. Rozstawiłem namiot i zabrałem się do szykowania kolacji, aż tu nagle podjeżdża swoim UAZ-em rzeczony Jurij – dla przyjaciół Jurę. Po kilku grzeszczyńskich zdaniach zaprasza mnie do domu, ale uprze-

mie odmawiam. Nie bardzo miałem ochotę znów składać namiot i cała reszta. – Jasne, jak chcesz, ale wiesz, mam banie i aż się proszę, żeby ją zatopić – dodał tylko Jurę. Bania to słowo-klucz, w którym można mniej przekonać niemal do wszystkiego, a już na pewno do załodowania całego swojego dobyteku na pakę autu bliżej nieznanego mi Rosjanina. Bania to rodzaj sauny, tyle że takiej rosyjskiej. A zatopić, oznacza rozpałić. Kto twierdzi, że bania nie czyni się nie różni od zwykłej sauny, niech sięgnie choćby do „Syberii” Jacka Palkiewicza, a najlepiej niech przyjedzie do Rosji, wywrze się porządnie, a potem wskoczy nago w śnieg albo do Bajkału. Wrażenia niesamowite. Pojechałem więc za Jurę, jak za złotym ciałem. ▶



tym bardziej że nie myłem się od trzech dni. Okazał się być wspaniałym rozmówcą i jedynym człowiekiem, który zrozumiał, że można jechać kilkaset kilometrów samotnie rowerem, ot, tak, dla przyjemności. Dowiedziałem się, że nieopodal miejsca, w którym rozbiłem namiot, w zeszłym roku miejscowa młodzież najpierw spila, a potem ograbiła doszczętnie kilkorowozystów z Francji. Mój gospodarz był też lokalnym patriotą, co szczególnie cenię w ludziach, więc dałem się zaprowadzić do miejscowego muzeum, które, jak z dumą obiecała mi pani dyrektor, odwiedzają aż dwa tysiące turystów rocznie. To chyba całkiem dobry wynik.

Pożegnaliśmy się wylewnie, a Jura obiecał poprosić swojego kumpła – szamana, żeby się pomodlił za mo-

#####

ją szczęśliwą, dalszą podróż. Syberia, a w tym wypadku Buriacja, to kraj, gdzie wciąż istnieje szamanizm, a miejscowa ludność traktuje swoje wierzenia bardzo poważnie. Dlatego nie powinny dziwić drzewa, obwieszane wszelkiego rodzaju wstążkami (w Mongolii to rzeczy niesbieskimi, w Buriacji kolor i forma raczej dowolnie), ale trochę zaskoczył mnie pobocza dróg, usiane monetami, rzucanymi najwyraźniej na szczęście. A propos dróg. Półmilion polskich złota stałem się już kilka lat temu, po rowerowej wyprawce na Łotwę, a przejeżdżając po rosyjskich rubieżach tylko utwierdziła mnie w głębokim szacunku dla świetnej roboty, jaką wykonują polscy drogowcy. W Rosji, kiedy widzimy dobrze znany znak „uwaga wyboje”, czyli dwie góry na żółtym tle, należy go odczytać dosłownie. To znaczy, że nagle rower zaczyna podskakiwać i musimy wykonać manewr skomplikowane słomą w poszukiwaniu kawałków w miarę gładkiej nawierzchni. Nie wynaleziono tu jeszcze znaku „uwaga grzązko”, a szkoda. W pewnym momencie człowiek zaczyna się zastanawiać, czemu jest tak mokro? A to tylko rozmiękły asfalt chłapie pod kołami.

Tego samego dnia spotkałem motocyklistę z Belgii, który informuje mnie, że w Ulan Bator wybuchły jaśnie zamieszki, szóstki osób zginięło, wprowadzono stan wyjątkowy i właściwie nie wiadomo, czy granica jest otwarta. Obiecał, że pojedzie i sprawdzi, jeśli wróci, to znaczy że niekiedy. Na szczęście nie wrócił, a do czasu mojego przyjazdu do stolicy sytuacja się uspokoiła, nawet prohibicję anulowano. Okazało się, że Mongolom nie spodobały się wyniki wyborów parlamentarnych.

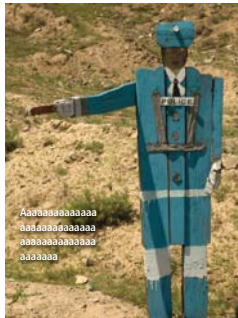
W końcu 6 lipca dotarłem do granicy rosyjsko-mongolskiej, po sympatycznym noclegu u stróża niewielkiego składu złomu. Z rosyjskimi służbami poszło w miarę sprawnie, ale po stronie mongolskiej czekała mnie wredzówka do kilku budek, w których siedzieli pogranicznicy, wydający dokumenty, oczywiście, każdy w języku mongolskim i każdy niezbędny, aby wjechać do ich kraju. Gdy już przekroczy-

łem granicę, u jednej pani wymieniłem walutę, bo banków przeciętnie tu nie ma. Z ufnością dałem jej 1000 rubli (nieco mniej niż 100 złotych), jak się okazało, kurs był niewiele gorszy niż w Ulan Bator.

Samotność długodystansowca

O ile bezkres syberyjski, mimo wszystko był trochę ograniczony górami, to zaraz za granicą, jakby ma zawałnię, otworzył się przed mną prawdziwy, niekończący się step. Jak okiem sięgnąć step, trawa, step, jurta, wyschnięte jezioro, step. Pedaly do dechy, wiatr we włosach, wolność absolutna. Temat z Indiany Jonesa w playzerze. W takich chwilach czuję, że żyję, otrzymuję nagły przypływ adrenaliny, endorfin i innych hormonów. Ale wszystko ma swoje granice, wydolność organizmu też, zatem w niewygodnym napakowanym miejscu udałem się do dość podłej wykładającego lokalu o nazwie guan, czyli bar, jak później przystomnie zaobserwowałem. Kelnerka przyniosła mi rachunek z trzema zerami. Trochę się przeraziłem, ale gdy po przeliczeniu wyszło 4 złote za porządny obiad i piwo, doszedłem do wniosku, że chyba polubię ten kraj.

Pedałowałem dalej, step, jurty, step, konie, step, krowy, step, owce, step, jaki, step i tak dalej... Ładnie, choć trochę nużące, mimo wszystko. W tej sytuacji przerwy na obiad (plus piwo), okraszone próbami na-



#####

wiązania znajomości z absolutnie nieznanymi żądnyw języków Mongolami, były sporą rozrywką. Co jakiś czas padał też deszcz, który jest przysmęzną ulgą podczas upału. Chociaż raz, muszę przyznać, burza napędziła mi niezłego stracha.

Duża burza

W filmie „Czyngis-Chan” (koprodukcja niemiecko-rosyjsko-kazachska, 2007 roku) utrzymywano, że wszyscy Mongolowie boją się burzy, a widzę się nie bał i dlatego został tym, kim zostałem. Pomyślałem sobie: – Co za tchórzliwy naród, czegoż tu się bać, kilku grzmotów i pioruna? To, że podróże kształcą, zrozumiałem później.

Wyjeżdżam za miasto i zaczyna się mój ukochany bezkres, co jakiś czas zakłócany tylko jakimś kolchozem imienia Lenina

W Polsce nie widzisz tak naprawdę burzy. Owsem, słyszysz, czujesz, ale widzisz tylko jej mały skrawek, który jest akurat nad tobą. A teraz wyobraźmy sobie przestrzeń ograniczoną jedynie linią horyzontu. I widzisz z odległości 50-100 kilometrów to niesamowite zjawisko. Cała burza. Od oczekują do końca. Tu się zakochała, tam zaczyna, a dalej jest jasno, pogodnie i widać, że ta burza ma kilkanaście, może kilkadziesiąt kilometrów i się przesusza. Wygląda jak wybuch bomby atomowej. I nagle zdejmasz sobie sprawę, że ten potwór idzie w twój kierunku. A ty tylko z kruchym namiocikiem. Uciec, ale dokąd? Mijając kilka jurty miniesz cichą nadzieję, że jakiś gościny Mongol wybiegnie na drogę i krzyknie: – Chłopcze, nie jedź rowerem w taką pogodę, schroń się w mej jurcie, przeoczkałem razem katalizem, moja mama zrobi wspaniałą sutę (aj herbat z solą), a ona pozostaje cię cujuwanem (baranina z makaronem). Nikt jednak nie zawołał... Jechałem więc dalej tym moim kaprawnym rowerkiem pod wiatr, bo biednemu przeciw zawsze wiatr w oczy... Jak tylko wjechałem do niedużej dolinki, może o średnicy dziesięć kilometrów, zaczęło ▶



Zagrozenie malarią: 20 cm
Najbliższy szpital: 300 km

Ruszasz na spotkanie z przygodą?
Zyczymy niezapomnianych wrażeń. Bez malarii.
Bez przykrych niespodzianek. Bez złych wspomnień.

Chroń ich od zaraz



www.malaria.com.pl
www.cimp.pl

się... Atomowy grzyb przesunął się nad nią, a oko cyklozisty nadciągnęło. Zachodziło słońce. W ostatnich promieniach chmury wyglądały jeszcze bardziej niesamowicie, a w górze strzelały błyskawice. Przypominało mi to trochę statek obcych z „Dnia Niepodległości”, który zawisnął nad Empire State Building w Nowym Jorku. Byłem mocno przerażony, nawet się nie zatrzymałem, aby zrobić zdjęcie. Wjechałem pod górę, aby znaleźć kawałek płaskiego miejsca na namiot, a wiatr wiał tak mocno, że zacząłem się bać i pomyślałem – zaraz mnie porwie razem z dobytkiem. Nawet przez chwałę przeklinałem pod nosem. Uciekłem, zatrzymałem się na pierwszym płaskim poletku, zaraz przy drodze, a co mi tam. Rower i wszystkie metalowe elementy rzuciłem byle dalej od namiotu. Ledwie go rozstawiłem, a zaczęło się. A potem szybko skończyło. O, zwykła lawina, pomyślałem, ale czym jest potęga wzniesienia. Nigdy w życiu tak nie bałem się burzy. A właściwie nie bałem się jej, tylko tego, jak ona wyglądała.

AAAAAAAAAAAA
AAAAAAAAAAAA
AAAAAAAAAAAA
AAAAA

Polak u bram

Po kilku dniach w końcu znalazłem się u bram Ulan Bator. 40 kilometrów od miasta, ale uznałem, że wolej jednak dojechać do celu w tryumfalnej głori dnia, tymczasem był już wieczór. Okazało się to jedną z lepszych decyzji tego wyjazdu, gdyż wkrótce rozpętała się burza (już się tak nie bałem), a po niej nad dolina rozpostarła się przepiękna tęcza. Jeden z cudowniejszych widoków, jakie dane mi było w życiu oglądać. Szczęściem dopiechał Mongol, który podjechał na koniu, aby zbadać dziwne zjawisko, jakim był namiot z Polakiem w środku. Ponieważ szybko się uczył, udało nam się chwilę porozmawiać, konwersacja brzmiała mniej więcej tak: – Dzień dobry, ja Polak, student, jeżdżę rowerem Rosja Mongolia. Mongolia piękna, ja przyjechałem, jutro dużo przyjadę Ulan Bator. Jedzenie Mongolia super dobre. – Rower dobry, ale koń lepszy. Do widzenia – odpowiedział mój rozmówca i odjechał, śpiewając. Mongolowie lubią i potrafią śpiewać, czasem prze-

sadnie uszczęśliwiają tym otoczenie. Niemniej jednak chwila magiczna, później zastanę pełen podziwu dla swoich umiejętności lingwistycznych.

10 lipca w strugach deszczu i błocie, bynajmniej nie tryumfalnie, a trzęsąc się z zimna, wjechałem do stolicy tego czteremilionowego kraju. Na szczęście, po herbiecie w barze przy bramach kontrolnych do miasta, udało mi się dojechać słońca. Obowiązkowa, pamiątkowa fotografia przy ogromnym napisie, obwieszającym światło, że jest to właśnie stolica państwa Wielkich Mongołów (za wyjazd do której się płaci, prawie jak w Londynie).

Za Ulan Bator praktycznie kończy się asfalt i bezpieczniej jest przejechać się do innych środków transportu. W ciągu ośmiu dni przejechałem niecałe 800 kilometrów (trudno dokładnie powiedzieć, bo po drodze popsuł mi się leżak, wymieniłem jedną oponę, przejechałem koło setki gigantycznych świerszczy, wypiełem bardzo dużo wody i wydałem bardzo mało pieniędzy.

Jak sprzedać rower w Azji

Pozostało zrealizowanie ostatniego etapu wielkiego planu – sprzedać roweru. W tym celu udałem się na ogromne targowisko w Ulan Bator, gdzie można kupić wszystko, od jurty w kawałkach po granaty ręczne. Chodziłem nieśmiało z napisem „sprzedam”, czekając, aż ktoś zdecyduje się ubrać ze mną interes. Najbardziej urzekł mnie pierwszy klient. Potargowaliśmy się trochę, w końcu uznał, że 90 dolarów to jednak za dużo, ale po chwili wrócił z pieskiem i mówił: – Słuchaj, a może kupisz szczeniaka? Odpowiedziałem mu po rosyjsku, że dziękuję, słiczny szczeniaka, ale widział, ja pociągłem wracam. – No, ale zobacz, jaki słodki – przekonywał. Rzeczywiście, słodki. Prawie mnie namówił. Udało mi się jednak odmówić i sprzedać w końcu mojego rumaka za cześć 90 dolarów. Dumni ze swoich handlowych zdolności kupilem od razu kowbojski kapelusz i ruszyłem w dalszą drogę, ale to już zupełnie inna historia. ●

W PIGULCE

- Trasa – Ulan Ude > Gusinooziersk > Nowoselengsk > Kiachta (granica) > Suche Bator > Darchan > Ulan Bator
- Czas – 8 dni
- Długość – około 800 km

- 1 dzień – 125 km
- 2 dzień – 92 km
- 3 dzień – 105 km (nocleg w Nowoselengsku)
- 4 dzień – ok. 100 km
- 5 dzień – 120 km
- 6 dzień – 96 km
- 7 dzień – 78 km
- 8 dzień – 45 km

- Dojazd – nad Bajkał najlepiej dostać się z Moskwy pociągami (3 dni) lub samolotem (od około 800 złotych w jedną stronę).
- Pociąg: Moskwa – Ulan Ude lub Moskwa – Irkuck. Bilety kolejną transsyberyjską od około 330 złotych, cena biletów jest zmienna, osobom znającym język rosyjski polecam stronę www.ticket.rzd.ru, gdzie można bez problemu kupić bilet przez internet.
- W sezonie wakacyjnym kursuje również bezpośredni pociąg z Polski do Irkucka, oczywiście, opłaty za przejazd są dużo droższe. Jedzie się przez 6 dni



nowość

Uzarin
ZEL NA URAZY

Na wszelki upadek

- ✓ na siniaki
- ✓ na opuchliznę
- ✓ na obolate miejsca



dosiępnij
BEZ
RECEPTY
w aptece

REG. 1434